

Co naprawdę zawdzięczamy pieniądzom z Unii Europejskiej? Możliwe, że rzeczywiście dużo. Pamiętajmy jednak, że dużo też straciliśmy¹

W panegiryku na cześć [Elżbiety Bieńkowskiej](#), nowej wicepremier, minister rozwoju regionalnego i transportu (weekendowa „Gazeta Wyborcza”, autorzy Aleksandra Klich i Agnieszka Kublik), czytamy min.:

Bez pieniędzy z Unii nie byłoby 3 98 oczyszczalni ścieków, 10 632 km dróg, 4164 przedszkoli, 42 651 łączy internetu szerokopasmowego, 2,3 tys. tramwajów, autobusów i trolejbusów, 322 ambulansów, 1700 laboratoriów, 50 przyszpitalnych lądowisk dla helikopterów. Nie byłoby wyremontowanej starówki w Toruniu, elektronicznych PIT-ów i numeru alarmowego 112, pociągów Elf czy oczyszczalni ścieków Czajka w Warszawie. Ani 318 717 miejsc pracy.

Dobrze, że dobrodziejstwa powietrza jeszcze Unii nie przypisują.

Naciągany charakter powyższych liczb jest oczywisty. Bez Unii Europejskiej nadal po polskich drogach jeździłyby autobusy i tramwaje, budowano by przedszkola, rozwijałyby się internet, budowano by oczyszczalnie ścieków itp. Na pewno za to nie wciskano by naszym kilkuletnim dzieciom homopropagandy i ideologii gender, co obciąża konto minister Bieńkowskiej.

Nawet jednak gdyby powyższe liczby uznać na chwilę za wiarygodne, to należy zaprotestować przeciwko tak prymitywnej propagandzie. Bo przecież, gdyby nie Unia Europejska, to w Polsce nadal pracowałyby stocznie, cukrownie, cementownie, produkowano by samochody, pracowałby przemysł maszynowy.

Likwidacja całych gałęzi przemysłu to efekt także regulacji unijnych, uniemożliwiających ochronę poszczególnych branż przed agresywną konkurencją wielkich, globalnych koncernów. Liczenie miejsc pracy, które rzekomo dała nam Unia, to więc dość karkołomne zadanie - bo niemal na pewno więcej miejsc straciliśmy, wchodząc do Unii.

Pieniądze, które płyną do nas z Zachodu, żadnego z państw starej Unii zubożyły ani o centa. Zachód na całą Unię Europejską wykląda odrobinę, procent budżetów narodowych, z czego większa część i tak do niego wraca w postaci zamówień i kontraktów. W przypadku Niemiec rozszerzenie na wschód dało temu państwu kolejny wielki impuls rozwojowy. Nie bądźmy naiwni, to nie jest sytuacja typu win-win, a więc korzystna dla wszystkich we wszystkich sferach.

1 Felieton z dnia 25 listopada 2013 r.; źródło: Jacek Karwowski, Michał Karnowski, „Pilnujmy Polski”, Wydawnictwo M, Kraków 2017, str. 205-206

Wniosek z powyższego nie jest wcale wezwaniem do wyjścia z Unii, czy nawet uznaniem, że gospodarczo więcej tracimy, niż zyskujemy. **Rzetelny bilans musi się jednak opierać na prawdzie, na uznaniu, że płacimy za członkostwo także konkretną, wymierną cenę.** Oczywiście, Ministerstwo Rozwoju Regionalnego o tym nie powie w swoich tak obficie emitowanych spotach, bo z zasady zajmuje się jedynie propagandą. My jednak o tym mówić musimy.

Największą stratą związaną z członkostwem w Unii jest oczywiście postępująca utrata podmiotowości, także tej najważniejszej, zapisanej w głowach. Elity orientują się na kariery w Brukseli, Polskę traktując jako trampolinę. Do tego zwolniły się z myślenia o przyszłości kraju, uznając, że wszystko już wiadomo, teraz trzeba tylko gorliwie realizować jedynie słuszną myśl, dyktowaną oczywiście z zewnątrz. Poważni ludzie na poważnie biorą unijny bełkot, którego liderzy innych krajów też, owszem, używają, ale którym nie zastępuje on myślenia.

Słyszemy oczywiście wezwania: członkostwo w Unii trzeba mądrze wykorzystać, daje ono wiele szans. **Problem w tym, że skuteczne wykorzystanie szans nie jest możliwe bez odbudowy prawdziwych elit, czego z kolei niemal nie sposób zrobić w ramach reguł, także ideologicznych, narzucanych przez Unię.**

Prawdziwy dramat. Tym większy, że wychodząc (co dziś nie jest możliwe z wielu przyczyn), nadal stalibyśmy naprzeciw wielkich, wpływowych potęg. Nie ma więc prostej odpowiedzi, nie ma jednego lekarstwa.

W takiej sytuacji trzeba zacząć od prawdy. Od mówienia, ile zyskaliśmy, ile straciliśmy. Bez emocji, na zimno. Bez propagandy.